

# Małe niezauważalne światy

Najpierw aparaty fotograficzne dostały dzieci indiańskie z rezerwatu w Kanadzie. Potem – te z Nowej Woli na Białostocczyźnie. Fotografowały, co chciały. Efekt – fascynujące zdjęcia dwóch małych społeczności

MONIKA ŻMIJEWSKA

Za sprawą etnografa Bartosza Hlebowicza powstał bardzo interesujący projekt, który łączy te dwie na pozór nieprzystające do siebie grupy. Wszystko zaczęło się od badań wśród Indian, by skończyć się nie tylko na rozprawach naukowych, ale wystawach i pewnej niezwykłej książce „Nowa Wola - po prostu”.

Słowo o autorze projektu: Bartosz Hlebowicz - urodzony w Białymstoku, wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, obecnie mieszka we Florencji. Zajmuje się Indianami Ameryki Północnej (Wschodnie Wybrzeże), wśród których prowadzi badania od 2001 roku. Zaowocowały one m.in. publikacją książki „Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki”. Współredaguje kwartalnik „Lawacin” - pismo o Indianach drukujące po polsku nowe teksty europejskich i amerykańskich indyanistów. Fotografuje, swoje prace pokazywał już m.in. na wystawach w Krakowie i Warszawie.

## ROZMOWA O projekcie

MONIKA ŻMIJEWSKA: Jak pan trafił do rezerwatu Oneidów?

BARTOSZ HLEBOWICZ: Jako etnograf prowadziłem badania wśród kilku grup indiańskich mieszkających lub wywodzących się ze Wschodniego Wybrzeża. Najczęściej to były grupy pochodzące od ludów znanych jako Irokezi i Delawarowie. Indianie interesowali mnie od zawsze. Tyle że ja chciałem też wiedzieć, jakie są dalsze losy bohaterów lektur. Dzisiaj, rozmawiając z przyjaciółmi z lat szkolnych, których droga życiowa zaprowadziła do Stanów, odkrywam z rozbawieniem, że nie mają pojęcia, że żyją w samym środku „indiańskiego kraju”.

Jedną z osób, która mi bardzo pomogła w badaniach, był profesor antropologii z Utica College w centrum stanu Nowy Jork, który na Uniwersytecie Jagiellońskim przez semestr prowadził wykłady o kulturach Indian Ameryki Północnej. Zaproponował, bym wśród nich zrobił badania. Drugą ważną osobą był Andrzej Wala z Atlantic City w stanie New Jersey, przebywający na emigracji od przeszło 30 lat. Założył w tym mieście Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Antropologiczne i zachęcał młodych badaczy z Polski, by przyjeżdżali do USA i robili badania wśród Indian. Podczas konferencji naukowej w 2001 roku zapytał mnie, czy chciałbym robić badania wśród tubylców z południa New Jersey. Oczywiście, chciałem. Badania latem 2001 i latem 2002 roku w społeczności Oneidów ze stanu Nowy Jork i w grupie Nanticoke Lenni-Lenape na południu New Jersey posłużyły do napisania pracy doktorskiej na UJ oraz książki, która została wydana w maju tego roku („Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki”). Większość Oneidów „skłoniono” do opuszczenia stanu: do dzisiaj, poza niewielką grupą, która pozostała w stanie Nowy Jork, żyją dwie liczniejsze grupy, jedna w rezerwacie w stanie Wisconsin, a druga na południu prowincji Ontario w Kanadzie. Gdy w 2006 roku przyszedł mi do głowy pomysł zrobienia tego projektu, zapytałem moich znajomych, czy chcieliby ze mną go stworzyć.

Skąd wziął się pomysł, by zestawić dwa projekty fotograficzne – realizowane w indiańskim rezerwacie i przygranicznej podlaskiej wiosce?

- Po okresie badań etnograficznych w terenie, napisaniu rozprawy, uznałem, że jest czas, aby odwdzięczyć się ludziom, których wcześniej nachodziłem z dyktafonem i aparatem fotogra-



Górne zdjęcie: Droga do Białegostoku, zdjęcie autorstwa Daniela Bójko z Nowej Woli. Dolne zdjęcie: Janet Irland sfotografowała, jak dzieciaki z Kanady wracają ze szkoły do domów

ficznym na użytek moich projektów badawczych. Stał pomysł, by zostali autorami lub przynajmniej współwykonawcami projektu. Myślałem o czymś pozytywnym, ale bardziej jeszcze – po prostu przyjemnym. Społeczność, którą wybrałem, Oneidów z Ontario, szczególnie trapią choroby społeczne typu alkoholizm, samobójstwa. Projekt przynoszący przyjemność musi też być użyteczny – pożytek właśnie w satysfakcji, jaką daje dużym na co dzień trapiącym bolesnymi wydarzeniami. Wybrałem to, co mnie samemu najbliższe – zdjęcia. Moim pragnieniem było, aby młodzi ludzie robili zdjęcia wszystkiemu, co w rezerwacie uznają za ciekawe i godne sfotografowania. Ja i moja współpracownica Alicja Froń [doktor nauk humanistycznych, autorka pracy na temat stereotypów Indian; obecnie pracuje w college'u w śląskim Cieszyźnie, gdzie uczy historii USA i angielskiego - red.] organizowaliśmy wyjazdy do innych społeczności indiańskich, aby oneidzkie dzieci mogły poznać ludzi o zbliżonych historiach i doświadczeniach, ale o których tak naprawdę nie wiedzieli zbyt wiele. Tak więc pomysłem wyjściowym było zrobienie projektu w konkretnym miejscu, w małej społeczności, z którą już kiedyś byłem związany. Mój kolega z Białegostoku, pedagog Marek Hyjek, który pracuje w szkole w Zabłudowie, kiedy usłyszał o projekcie, zaproponował, by coś takiego zrobić też na Podlasiu i dzięki jego kontaktom w GOK-u w Michałowie, znaleźliśmy właściwe miejsce. To była właśnie Nowa Wola. A zatem na początku wcale nie myśleliśmy o projekcie, którego celem byłoby porównywanie dwóch odmiennych grup, raczej o przeprowadzeniu podobnych projektów w dwóch odrębnych miejscach.

Ale porównania narzucają się same.

- Oba miejsca mają wspólne uzasadnienie: są małe i niezauważalne. Z jakichś powodów takie miejsca mnie przyciągają. Oneidowie - jedna z wysepek tubylczości wśród głównie „białego” społeczeństwa, Nowa Wola - jedna z zapomnianych wiosek zamieszkałych w dużej mierze przez ludność prawosławną i białoruskiego pochodzenia. I tu, i tam - odrębny świat żyje sobie własnym życiem, wedle reguł tak naprawdę obcych dla kogoś spoza. Inność przyciąga. Wąlor Nowej Woli dodatkowy: różnorodność, wymieszanie, bo niezależnie od dominującego prawosławia, są tu rodziny katolic-

kie, jest też rodzina zielonoświątkowców. Pytanie, jakie zadaliśmy sobie z Alicją, było takie: czy takie małe światy „na uboczu” potrafią być atrakcyjne? Czy tradycja może być tym czymś, co uzdrowi choć odrobinę schorowaną społeczność, jak to było w wypadku kanadyjskich Oneidów? Czy tradycja może sprawić, że ludzie zaczną interesować się swoim miejscem i jego historią? To samo pytanie dla obu społeczności: czy można, za pomocą projektu fotograficznego, zjednać pokolenia, zbliżyć młodych i starych i sprawić, by ci pierwsi wysłuchali, co drudzy mają do powiedzenia? Pragnęliśmy, by młodzi wykorzystywali każdą okazję do rozmowy ze starszymi - inicjowaliśmy wywiady, którym dzieci z początku się przysłuchiwały, a potem same zadawały pytania. No i robiły zdjęcia. To funkcjonowało całkiem nieźle w Nowej Woli, u Oneidów - nie, bo okazało się, że niesnaski pomiędzy różnymi frakcjami „tradycjonalistów” są tak duże, że przyprawienie dzieci do jakiejś osoby oznacza, że jest się wrogiem innego autorytetu. U Oneidów skupiliśmy się więc na samych zdjęciach...

Czy podczas pracy badawczej dostrzegł pan jakieś podobieństwa?

- Niektóre fotografie ujawniają bardzo emocjonalny stosunek mieszkańców do pewnych spraw w obu społecznościach. Na przykład w Nowej Woli zdarzyły się trzy przypadki, że osoby rozpoznając się na zdjęciu umieszczonym na wystawie, usiłowały takie zdjęcie zerwać z wystawy albo zniszczyć. Być może szło o wstyd, bo ludzie w małych miejscowościach czasem myślą, że na zdjęciu powinni być tylko w odświętanych strojach. Emocjonalne reakcje obserwowaliśmy wśród Oneidów, ale tylko wśród dzieci. Gdy pod koniec drugiej podróży ze zdjęciami jedna z dziewcząt oznajmiła, że nie zależy jej na zdjęciach i możemy je równie dobrze zostawić tam, gdzie akurat przebywaliśmy, jeden z młodszych uczestników projektu niemal się rozplakał. Szczególnie przywiązany był do zdjęcia, które przedstawia „wampum Oneidów” - uważany za ich święty przedmiot. Tego typu wydarzenia ukazują sprawę niedostrzegalną łatwo na co dzień.

A różnice?

- Co innego dzieci wołały fotografować: nowowolskie chętniej fotografowały rodziny, wnętrza domów, cerkiew. Dzieci oneidzkie fotografowały swoje miejsce

ceremonialne - tzw. długi dom, ale tylko z zewnątrz, nigdy w środku. W wielu małych społecznościach tubylczych od kilkunastu, kilkadziesiąt lat istnieje coś w rodzaju politycznego czy ideologicznego zakazu wpuszczania białych do długich domów, a także ich fotografowania. Stał pewnie i postawa dzieci. Za to dziećmi nowowolskie fotografowały z dumą swoją cerkiew, również podczas nabożeństwa. Co ciekawe, gdy poprosiliśmy o fotografowanie czy ilustrowanie prac domowych czy gospodarskich, dzieci z Nowej Woli nie miały z tym problemu. Przyniosły rysunki o tym, jak się robi masło, dżem, jak się wybiera miód czy zabija świnię. Dzieci oneidzkie narysowały za to, jak się robi grzechotkę z żółwia do tańców ceremonialnych. To wiele mówi o charakterze społeczności czy rodzaju nauk, jakie otrzymują od rodziców. U Oneidów, gdy rozmawiałem z jednym z młodszych liderów grupy tradycyjnej o możliwości fotografowania przez dzieci, jak się - pod jego kierunkiem - sporządza ceremonialne „bębny wodne”, odmówił. To rzecz święta, wyjaśnił. W Nowej Woli „rzeczy święte” były pierwszymi, które dzieci chciały i mogły fotografować.

Jakim doświadczeniem była praca w obu tych społecznościach?

- Doświadczenie pracy w rezerwacie Oneidów okazało się ciężkie. Wynikało ze specyficznego charakteru projektu: pracy w małej społeczności i z młodymi ludźmi i z tego, że wymagała nieustannego kontaktu z ludźmi. W małej społeczności, bardzo skłóconej, jak to jest w przypadku Oneidów, zadawanie się z kimś czyni cię natychmiast wrogiem kogoś innego. I do dzisiaj nie wiem, co dokładnie było przyczyną takiego a nie innego zachowania ludzi, odmowy, zmiany zdania, a czasem wręcz szkodzenia. I wiele razy, zwłaszcza w szkoleniu Oneidów, dostaliśmy mocno po głowie. Przyjaciele okazali się wrogami, pojawili się też niespodziewani przyjaciele, a na sam koniec akurat te nastolatki, które wcześniej były najlepszymi uczestnikami projektu, dały nam się ostro we znaki. Powiedziałbym: zły wpływ rodziców i dorosłych w ogóle, którzy nie oszczędzają swoich dzieci i włączają je w rozgrywki pomiędzy sobą. Myślę, że obcy u jednych budzą zainteresowanie, u innych lęk. Alicji, która w Nowej Woli spędziła więcej czasu niż ja, zapewne niejednokrotnie dane było odczuwać własną obcość. Jeden z przykładów - kiedy któryś z mieszkańców zaczął krzyczeć na Alicję i zarzucać jej, że oto przyjeżdżają z miasta, by okraść biednych ludzi. Mówię tu o rzeczach pesymistycznych, ale w istocie praca w obu społecznościach dała wiele satysfakcji i mnie, i Alicji. Dowiedzieliśmy się, że praca z nastolatkami jest o niebo trudniejsza niż „zwykła” obserwacja uczestnicząca, przeprowadzanie wywiadów etc. Ale nie zapominamy oddania, z jakim niektóre dzieci brały udział w projekcie. Niektóre przyniosły wiele zdjęć, spędzały z nami wiele czasu, same wymyślały, co można by fotografować. Do dzisiaj słyszemy od ich rodziców, jak są dumne z tego, że uczestniczyły w projekcie i chwaliły się swoimi zdjęciami przed innymi.

Dlaczego pana zdaniem tak ważne jest, by młodzi fotografowali swoje otoczenie, swoje rodziny, swoją społeczność?

- Fotografowanie może być rozumiane jako proste odzwierciedlanie rzeczywistości, ale też ujawnia wiele rzeczy, z których niekoniecznie w pierwszej chwili zdajemy sobie sprawę. Ważne jest to, co dzieci fotografują, i to, co pomijają. Fotografowanie ich opisy mówią o tym, co jest istotne dla społeczności - np. proporcjonalnie najwięcej zdjęć dzieci w Nowej Woli wykonywały w cerkwi oraz zwierzętom gospodarskim. W pewnym sensie próbowałem uczynić z młodych ludzi „tymczasowych artystów”. Chodziło o to, żeby spojrzeli na swoją codzienność z dystansu i sprawdzili, czy jest w niej coś do odkrycia. Zadanie nietatwe, bo na

## Wsparcie z Japonii

● Na fotograficzny projekt polsko-białorusko-indiański pieniądze dali Japończycy z Tokyo Foundation, instytucji współpracującej z kilkadziesiątoma uniwersytetami na świecie, w Polsce akurat z Uniwersytetem Jagiellońskim. Pieniądze wystarczyły na realizowanie projektu z Oneidami w czerwcu i lipcu 2007 (w tym wystawy objazdowe w innych rezerwach, w USA i Kanadzie) oraz na częściowo sfinansowanie wystaw na Podlasiu we wrześniu 2007 roku (przy których pomógł też Gminny Ośrodek Kultury w Michałowie). Środków finansowych na książkę już zabrakło - powstała więc za pieniądze autorów projektu, kilkorga przyjaciół oraz rodziny. Pomógł też nieco Urząd Marszałkowski w Białymstoku. ●

pierwszy rzut oka w Nowej Woli wiele do odkrycia nie ma: dwie ulice na krzyż, dwa rzędy domów, sklep, cerkiew. Ale wszystko zależy od tego, na jakim poziomie obserwacji się znajdujemy. I w postawie przynajmniej niektórych dzieci, w doborze obiektów, które fotografowały, w tym, jak o nich opowiadały, widać było, że pomiędzy nimi a miejscem istnieje specjalna więź. Dotyczy to szczególnie dzieci z Nowej Woli. To spojrzenie widać np. w zdjęciach Daniela Bujko, który nie waha się wchodzić z aparatem do domu czy do kurnika, fotografować z ukrycia swoich bliskich, ale w sytuacjach, które pokazują ich bardzo ładnie. Piękne zdjęcia zrobiła na przykład Kasia Kondrusik (szerokie plany wioski). Dobrą rękę do zdjęć miał Michał Bogdan, który robił nieźle ujęcia ludzi albo na przykład wózwoz gospodarski. Chciałem, by za pomocą zdjęć dzieci odkryły Nową Wolę dla siebie, ale też i dla innych: stąd wystawy i książka. Myślę, że wszystko to pokazuje, że taki projekt ma sens, że codziennie może stać się przedmiotem sztuki czy artystycznej obserwacji, i że taka obserwacja nie jest ograniczona tylko do wąskiego kręgu zawodowych artystów. W rozmowach ze starszymi mieszkańcami Nowej Woli słyszeliśmy narzekania, że dzieci mają niewielkie perspektywy, że muszą opuścić wieś, aby coś w życiu osiągnąć. I nasz projekt nie służył temu, aby dzieci przekonali do piękna tego miejsca czy konieczności pozostania. Ale, póki tam są, warto odkrywać, co jest w nim ciekawego. Myślę, że dzieci stworzyły naprawdę fajny autoportret swego miejsca.

Jak zareagowali ci młodzi na początku świadomość własnego miejsca, korzeni?

- Sami byliśmy ciekawi, jak zareagują dzieci. Chętnie, zwłaszcza w Nowej Woli, grały rolę przewodników po miejscu. Myśleliśmy od nich nauczyliśmy chyba tyle samo, co one od nas i od swoich rodziców czy dziadków. Odkryciami dla nich były historie opowiedane przez dziadków właśnie o ich losach podczas drugiej wojny światowej, o ukrytych starych grobach w lesie czy potańcówkach we wsi w dawnych latach. Świadomość korzeni nie była i chyba nadal nie jest zbyt wielka. Bardzo nad tym ubolewa np. Paweł Grześ, który towarzyszył nam krótko w sezonie letnim 2008 roku. Dzieci, ale też starsi mówią o sobie, że są po prostu „stać”, tak samo jak deklarują, że mówią językiem „po prostu”. Paweł wołałby, żeby wiedzieli i z dumą deklarowali, że są Białorusinami. Rozumiem jego żal, ale też rozumiem, że ludzie, którzy żyją na pograniczu (nie tylko w sensie granic między państwowych, rzecz jasna, ale też w sensie kulturowym i etnicznym), mogą czuć się po prostu ludźmi z tego konkretnego miejsca i nazywanie ich w taki czy inny sposób może być dla nich objętne. ●

Więcej o samej książce „Nowa Wola”

– jutro w „Gazecie”.